

PIELGRZYMKĄ DO GROBU
BRIGITTE BARDOT
CUDOWNEJ

LECH
MAJEWSKI



LECH
MAJEWSKI

PIELGRZYMKĄ DO GROBU
BRIGITTE BARDOT
CUDOWNEJ



Mój ojciec na obczyźnie –
żyje czy umarł?

Telemach, *Odyseja*

I

Kłęby pary wirowały wokół lamp, wsiąkając w nie jak w gąbki. Pierś nieba karmiła Wenecję mlekiem swej mgły. Wilgotne oddechy mijanych kanałów były ciepłe. Odurzały. Pachniały zbutwiałym marmurem i lepkiem pluskiem fal. Szedłem po omacku poprzez zsiniałą, pełznącą chmurę. Raz po raz skłębione mleko wybuchało światłem wystaw; wędliny, ubrania i telewizory wyglądały na nich jak wycięte brzytwą – kaleczyły źrenice.

Pojedynczy przechodnie mijali mnie bezszelestnie. Nie słyszałem, gdy nadchodzili; nie słyszałem ich głosów, gdy rozmawiali ze sobą; nie słyszałem nawet własnego oddechu. Nie było słyhać tego, co działo się w pobliżu, podczas gdy odległe dźwięki były namacalne. Trójwymiarowe.

Dźwięk dzwonu wołał mnie nad wodami zatoki; ponaglał i napełniał tęsknotą. Skręciłem w wąską Vale Caraccio. Tu już nie było wystaw, jedynie domy, znad których opadała bezustanna kurtyna mgły. Usłyszałem szept mężczyzny oraz zduszony kobiecy śmiech. Spojrzałem w górę, ale dostrzegłem tylko zarys okiennic. Poprzez szczeliny były rozwidlone snopy światła. Kobieta zamilkła; rozległ się szelest prześcieradła i zduszony jęk łóżka. Radio wybuchło i zgasło. Ktoś zakaszał przez sen.

Dotarłszy do stromego mostu, oparłem się o balustradę. Pode mną kołysała się gondola na wpół przykryta czerwoną ceratą. Była za-

cumowana u podnóża schodów obrosłych wodorostami. Gdy w pobliskim kanale przepłynęła motorówka, woda leniwie uniosła się i zachlupotała w przezartych zębach bram.

Kropla wilgoci spadła mi na dłoń. Ocknąłem się. W narożniku kamienicy zawieszanej nad mostem widniała figura Marii Magdaleny. Z jej kamiennego palca oderwała się kolejna kropla. Wystawiłem język. Tak, miała smak mleka.

Błądziłem wąskimi uliczkami jeszcze godzinę, może dwie, czując się lekki, na pół przezroczysty, zanim dotarłem do Piazza San Marco, gdzie z podcieni wyłoniła się smukła figura kobiety idącej szybko, ze spuszczoną głową. Pozwoliłem jej wpaść wprost na siebie. Odskoczyła i uniosła twarz o zachłannych wargach. Poznałem ją natychmiast. Gdy odwróciła się i odeszła, stałem wpatrzony w zamykającą się za nią mgłę. Dopiero po chwili ruszyłem w pościg. Serce kołatało mi w piersi z obawy, iż więcej jej nie ujrzę, ale tuż koło poczty dostrzegłem ją znowu.

Zwolniła przed rozświetlonym westybulem Hotelu, w którym widać było portiera pochylonego przy stoliku. Na widok kobiety ocknął się z sennego odrętwienia i otworzył drzwi. Podeszła do recepcji, przycisnęła dzwonek. W kantorku pojawiła się sztywna, ptasia sylwetka recepcjonisty, który nosowym akcentem pozdrowił ją, wymówił liczbę 111 i podał klucz. Jego twarz skierowała się ku mnie. Wybąknąłem coś o restauracji, a portier spojrział na ścienny zegar i wskazał mi drogę.

Gdy dotarłem do szerokich schodów, zacząłem wspinać się, wskazując po trzy, po pięć stopni, by zwolnić dopiero przed drzwiami windy na pierwszym piętrze. Rozsunęły się bezszelestnie. Brigitte ze zdumieniem spojrzała na mnie po raz wtóry i ruszyła do swego pokoju. Nie słyszała moich kroków, stłumionych miękką czerwienią dywanu. Nie obejrzała się, bym nie pomyślał, że mnie zaprasza, że pragnie, by moje dłonie dotknęły jej skóry, by moje spocone, drżące palce nie odkryły pierwszej zmarszczki, jak koścista ręka śmierci wpijającej się w jej szyję.

Klucz nie mógł trafić do zamka. Wreszcie drzwi ustąpiły – pchnęła je zbyt mocno, ukazując wewnątrz apartamentu pokrytego spopielałymi freskami. Wiedziała, że stoję tuż za nią i wpatruję się chciwie w jej zwiędłe ciało, ale nie była w stanie wykonać ruchu. Minęły lata, nim zatrzęsnęła drzwi.

II

Zwlokłem się do restauracji i pozwoliłem, by unizony Maitre d' posadził mnie przy stole fosforyzującym światłem nakrochmalonego obrusu, srebrem sztućców i kryształowymi soczewkami kieliszków. Zapytał, czy spodziewam się jeszcze kogoś. Odpowiedziałem, że nie. Było cicho, niemal pusto, nie licząc kelnerów w karminowych fartuchach, którzy tańczyli pawany nad parującymi trupami zwierząt, oraz dwóch wiekowych Amerykanek w asyście bliźniaczo uczynnych żigolaków.

Za szybą, oddzielającą restaurację od Canal Grande, mgła uniosła się już nieco znad wody i widać było ocienione pałace po drugiej stronie. Środkiem kanału sunęła waporetka uwożąca garstkę spóźnionych pasażerów. Bliżej, tuż za oknami, biało-niebieskie lizaki pali topniały w zetknięciu z bakelitową wodą. Zamówiłem kolację i jadłem ją zapatrzony, jak czarna woda z pluskiem obmywa okna restauracji. Czyjaś ręka spoczęła na moim ramieniu. Drgnąłem.

Mamy cię wreszcie, usłyszałem za sobą, gdzieś ty się podziewał? Szukaliśmy cię po całej Wenecji. John usiadł przede mną, zdjął okulary w drucianych oprawkach i przetarł je krawędzią serwetki. Chciałem być sam, powiedziałem. Ohohoho, a co to, znudziła ci się już swawola? Mieliśmy wpływ przepłynąć kanał, sam się założyłeś. Nic z tego, nie czuję się na siłach, jestem chory. Chory? A cóż to panu dolega, samotność?! – John ryknął śmiechem, któ-

ry zadarł głowy amerykańskim czapłom gotującym się do odlotu. Co za chamstwo, syknęła jedna z nich. John wstał i rozejrzał się. Tu jest jak w trumnie, powiedział. Ćśśś, złapałem go za rękę. Kelner wyrósł za jego plecami i niemal siłą wepchnął mu kartę pod nos. Kuchnia już zamknięta, wyszeptał, są tylko zimne przystawki. John upuścił menu na stół i patrząc kelnerowi prosto w oczy, rozkazał: Przyniesz wszystko, co masz! Kelner uklonił się, podniósł kartę i pokazał nam karminową kokardę fartucha zawiązaną na plecach.

Gdzie jest reszta? – zapytałem Johna. Za tobą. Odwróciłem się. Paul, George i Ringo stali przy wejściu do kuchni i dyskutowali z Maitre d', który, gestykulując, nie krył swego niesmaku na widok ich dziwacznych kostiumów. Oczywiście nie rozpoznawał, kim byli, co mogło się zdarzyć tylko w miejscu takim jak Wenecja. Widząc mnie, Paul pomachał mi ręką i po chwili wszyscy trzej przysiedli się do stolika.

Co za miejsce, poskarżył się Ringo, myślałem, że takie knajpy są tylko w Leeds. W Leeds? – zdziwił się Paul. Tam też jest taki stary Bingo Hall, który kiedyś był kinem. Ringo zaczął jeść palcami z mojego talerza, a Paul ziewnął. John, najwyraźniej poirytowany, nie spuszczał oczu z drzwi kuchni. Jedynie George przyglądał mi się z uwagą. Jakaście mnie tu znaleźli? – zapytałem.

PAUL

Przypadek.

GEORGE

Wcale nie. Widzieliśmy cię z Brigitte.

JA

Szpiegowaliście?

RINGO

Chcieliśmy ci zaśpiewać, na wypadek gdyby
doszło do romantycznej sceny.

Zdenerwowałem się.

JA

A co to, nie macie nic lepszego do roboty?

GEORGE

My już nudzimy się trochę sobą.

JOHN

Może nawet się rozejdziemy.

JA

Nie możecie tego zrobić!

PAUL

A to dlaczego?

JA

Świat wam nie daruje.

GEORGE

Przecież i ty już zaczynasz się nami nudzić.
Uciekasz od nas.

JA

Nie, to nie to.

GEORGE

A co?

JA

Zgubiłem się... Z wami było mi dobrze, może nawet za dobrze, ale przestałem szukać ojca.

JOHN

Nareszcie!

PAUL

Co nareszcie?

JOHN

Żarcie idzie.

Rozmowa urwała się, gdy kelnerzy poczęli wykładać stół mozaiką srebrnych talerzy z zakąskami. Mmm, wyborne, wymamrotał Ringo, napychając usta krewetkami. Kelner niemal siłą wcisnął mu w rękę widelec, ale Ringo upuścił go natychmiast. Dlaczego wszyscy za wszelką cenę chcą zmusić cię do konwenansów, jęknął Ringo. Taki świat, filozoficznie zauważył John, każdy chce cię zrównać, zrównać, zrównać; zaczął śpiewać, podczas gdy Ringo wybijał rytm widelcem.

Spostrzegłem, że fale kanału zaniepokoiły się, rozpryskując o okna restauracji. Tak jakby przyływ podniósł wody zatoki do jednej czwartej wysokości szyb, które z pewnością musiały być wodoszczelne, bowiem nikt nie zwracał na to uwagi. Wszyscy skupieni byli raczej na błazeństwach moich przyjaciół, którzy, jak na gust zebranych, bawili się najwyraźniej za dobrze. Maitre d' stanął przed nami i stwierdził, że jeżeli chodzi o jego zdanie, to wszyscy w restauracji mogli stać na głowie i śpiewać, ale niestety był w tej opinii całkiem odosobniony, gdyż klienci właśnie poprosili go, by zawo-

łał policję. Kto prosił?! – krzyknął gniewnie John, a Maitre d' dyskretnie wskazał Amerykankę siedzącą najbliżej nas.

John wstał, podszedł do kobiety i pochylając się nad jej niedokończonym deserem, zapytał: Czy pani nie lubi naszego śpiewu? Kobieta uniosła głowę i spojrzała w sufit, ponad głowę Johna, zaś jej żigolo poderwał się z miejsca, tak że krzesło rąbnęło o podłogę, po czym wykrzyczał coś do Johna po włosku. Zamknij się, ja mówię do tej damy, John machnął ręką, nie racząc nawet spojrzeć na niego. Ale żigolak złapał Johna za kołnierz i damskim ruchem trzepnął go w twarz. John sieknął go na odlew i żigolak przeleciał przez dwa stoły, by wylądować na trzecim. Bliźniaczy żigolak doskoczył do nieprzytomnego kolegi i zaczął nim potrząsać, pogarszając jeszcze stan jego zdrowia.

Kelnerzy rzucili się na nas całą chmarą. Chwyając krzesła, Paul i Ringo wskoczyli na stół i dźgali nimi dookoła; jedynie George nie ruszył się, jedząc dalej w spokoju. Maitre d' zamierzył się inkrustowaną tacą w głowę George'a i już miał go zdzielić, ale w ostatniej chwili złapałem go za rękę. Zostaw, krzyknąłem, czy nie zdajesz sobie sprawy, kim są ci faceci? Zdaje, krzyknął Maitre d', to są bandyci nieszanujący mojej restauracji. To są Bitelsi, idioto, odkrzyknąłem, Bitelsi! Bitelsi? – z niedowierzaniem zapytał Maitre d' i przyjrzał się George'owi dokładnie. Nie wierzę! No to zawołaj policję i zaraz będziesz miał wszystkie gazety na świecie rozpisujące się o awanturze w twojej knajpie.

To są Bitelsi, żigolak zaskrzeczał w ucho swego kochanka, Bitelsi, obudź się, bo przepuścisz taką okazję. Znokautowany ocknął się,

rozejrzał szybko i jęknął: coś ty mówił? Bitelsi? Gdzie? Jak? Czy mi się śniło? Nie śniło ci się, zapewniał bliźniak, tutaj, w nos znokautował cię Lennon, John Lennon z The Beatles. Sam John Lennon? – z niedowierzaniem pytał ocknięty i szybko wyrwał z rąk kolegi chusteczkę, którą ten przykładł do jego krwawiącego nosa. To jest krew, którą puściłem w zwarciu z Lennonem, moja krew, jęczał w ekstazie, muszę zachować ją na zawsze, na zawsze, rozumiesz? Może on mi podpisze ją własną ręką, a wtedy ta chusteczka warta będzie kupę forsy, ale nie sprzedam jej, będę trzymał przy sobie i ile razy usłyszę ich piosenkę, popatrzę sobie na nią. Co za przygoda, w głowie nie chce mi się zmieścić, pomóż, nie, o tak, już dobrze, sam wstanę, chodź, bo oni mogą odejść i po sprawie, na pewno są obrażeni, tak źleśmy ich potraktowali, kto by pomyślał.

Czyjeś ręce szarpały moje ubranie, ktoś rwał włosy z głowy Paula, inny zdierał okulary z nosa Johna. Szponiasta ręka Amerykanki bezskutecznie usiłowała zerwać pierścionki z palców Ringa. Zmiażdżeni, bez tchu i na wpół omdlali, nie mogliśmy się ruszyć pod naporem tłumu i poleglibyśmy, użądleni, zadziobani i rozszarpani w tej luksusowej restauracji, gdyby John nie ryknął nagle tym swoim słynnym, przeraźliwym głosem. Cisza! Spokój! Nie damy nikomu ani jednego cholernego autografu, jak nie zapanuje tu spokój.

Tłum zakołysał się i posłusznie umilkł, a John wgramolił się na stół. Możemy ubić interes, krzyknął, chcecie? Taaak, odkrzyknął tłum. OK; potrzebujemy pół godziny spokoju... A na co pół godziny? – podniosły się głosy, dlaczego nie kwadrans? Potrzebujemy pół godziny spokoju, powtórzył John, aby porozmawiać z naszym

przyjacielem. On szuka ojca, a my zapomnieliśmy mu w tym pomóc. A co się stało z jego ojcem? Dlaczego szuka? – głosy odezwały się ponownie.

Cisza! – krzyknął John – nie przerywać, bo zaraz się stąd zmyjemy. Tym razem nikt nie pisnął. Jeżeli znikniecie nam z oczu na pół godziny, zawyrokowałam John, to pozwolimy wam później ustawić się w kolejce i damy każdemu autograf. Każdemu? Nawet z dedykacją, dorzucił Ringo. Unosząc ręce, Maitre d' wystąpił z tłumu. Ja podejmuję się być waszym reprezentantem i mężem zaufania, zwrócił się do Amerykanek, żigolaków i kelnerów, kto za? Wszyscy kelnerzy unieśli ręce. Maitre d' zwrócił się więc do Johna: czy możemy schować się w kuchni i tam przeczekać pół godziny? Możecie, odparł John. Zgoda, Maitre d' wyciągnął swą rękę, a John uścisnął ją. Huraaa, krzyknęli kelnerzy i popchnęli Amerykanki i żigolaków za wahadłowe drzwi kuchni.

W restauracji ponownie zapanował spokój. Paul i Ringo chwycili za kraniec serwety i unieśli ją razem z porozdeptywanymi naczyniami i resztkami jedzenia. Zawiązawszy serwetę w tobołek, Ringo cisnął ją w koniec sali. Fale kanału łomotały teraz ze zdwojoną siłą, pokrywając szyby bielejącymi zaciekami piany. Głuchy, miarowy łoskot kolejnych uderzeń wstrząsał ścianami restauracji, lecz John, Paul, Ringo i George nie zwracali nań najmniejszej uwagi, wpatrując się w skupieniu w moją twarz.

Czas, by się pożegnać, odezwał się wreszcie John. Tak, odparłem, już czas. Będziemy cię dobrze wspominać, zapewnił Paul. Wiem, ja was też. To głupia sprawa, zauważył John, ale nie tylko ty się zgubiłeś...

JOHN

...my wszyscy pogubiliśmy się.

PAUL

Mów za siebie.

JOHN

Ja mówię za siebie, nie obawiaj się.

RINGO

Skończcie się kłócić, na miłość boską!

PAUL

Racja, mamy tylko pół godziny.

JOHN

Proponuję posiedzieć chwilę w milczeniu, to nam dobrze zrobi.

RINGO

Zgoda.

GEORGE

Cisza to najlepsza muzyka.

Zdumiałem się. Czy nie widzicie tych fal? – spytałem. Widzimy, odparł George, lecz Paul przypomniał, że mieliśmy nic nie mówić. Obserwowałem zatem w milczeniu, jak fale eksplodowały, uderzając o szyby, i przejęła mnie trwoga; przecież w każdej chwili okna mogły skruszeć pod ich naporem.

Z upływem minut fale uderzały coraz wścieklej i nie widać już było nic poza spiętrzoną masą, która z hukiem kipiała wokół nas. Pierwszy odezwał się John. Być może w Hotelu – powiedział – spotkasz ojca.

Wahadłowe drzwi otworzyły się i młody kelner, tracąc równowagę, wtoczył się do restauracji i zarył nosem w dywan. Wyszczерzył do nas zęby i nie zdążył jeszcze powiedzieć przepraszam, gdy ręce innych wciągnęły go z powrotem. Jedyne Maitre d' wyrżał przez bulaj, lecz na widok Johna wstającego z miejsca odskoczył w tył jak oparzony.

Zbieramy się chłopaki, zakomenderował John, oni zaraz się tu na nas zwałą. A co będzie, jak zauważą nas przy wyjściu? – zapytałem. My nie wyjdziemy wyjściem, spokojnie odparł John, nie spuszczaając oczu z kuchennych bulajów. A którędy? John wskazał na narożnik obmywany z obu stron potężnymi uderzeniami mętnej piany. Ogarnęło mnie przerażenie. Tędy?

Ruszyliśmy ostrożnie ku środkowi żywiołu rozpryskującego się o niezdobyte szyby. Tuż pod oknami ściana tworzyła wnękę osłaniającą wąskie schodki. Zeszliśmy po nich gęsiego, podczas gdy skłębiona otchłań zamknęła się nad nami.

Strome schody okryły nas nieprzeniknioną ciemnością. Zbutwiałe zimno przeniknęło do kości. Płuca wypełnił zapach wodorostów. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem oszronionej, kamiennej ściany; strugi wody spływały wzdłuż moich palców. Szliśmy po omacku, dopóki nie zazgrzytał kamień zapalniczki i masywne ściany nie zakołysały się w wątlým świetle płomyka. George uniósł rękę, ale powiew ciężkiego wiatru zdmuchnął płomień. Grzęząc w rozmięklej ziemi, szliśmy dalej i tylko błyski zapalniczki zmuszały nasze upiorne cienie do chybottliwego tańca.

Musiałem kilkakrotnie otwierać usta i przelykać ślinę, nim odetkałem bębenki wgniezione rosnącym ciśnieniem. Korytarz opadał

stopniowo aż do miejsca, w którym tworzył rotundę. Stłumiony huk wody przelewał się ponad sklepieniem i dudnił wśród ścian zwielokrotnionym echem. Staliśmy otoczeni zięjącymi otworami korytarzy rozchodzących się we wszystkich kierunkach.

Tędy, szepnął George i wskazał na jeden z otworów. Jesteś pewien? – zaniepokoił się John. Tak. Nasze przemoczone buty zachlupotały i ruszyliśmy ku górze. Korytarz zakręcał łagodnie w spiralę zwieńczoną schodami. Powitaliśmy je z uczuciem niewypowiedzianej ulgi. Zziębnięci dotarliśmy do szczytu. Znajdowaliśmy się w małym pomieszczeniu, rodzaju schowka pełnego wiader, mioteł i odkurzaczy.

Wychodź, Ringo otworzył drzwi i pchnął mnie lekko do przodu. Blask elektrycznego światła poraził moje źrenice. Otworzyłem załzawione oczy i jak przez mgłę dostrzegłem szpaler wysokich, białych drzwi. Zza jednych z nich wyłoniła się pokójówka w koronkowym fartuchu i obdarowała nas uśmiechem.

Pośrodku błyszczącej posadzki wznosiła się masywna lada recepcji. Słyszac odgłosy kroków, recepcjonista przerwał tasowanie listów i uniósł głowę znad pulpitu. Był to ten sam człowiek, który skierował mnie do restauracji, tylko że wewnątrz tego hallu różniło się znacznie od tamtego: było większe, bogatsze, bardziej wysmakowane; miało w sobie ową monumentalność właściwą hotelom dawnej świetności, hotelom pełnym rzeźbionego drzewa, marmurowych płyt i polerowanego mosiądzu. John szepnął coś w ucho recepcjoniście, którego nazwał Żoakim, a ten skinął i podał mi klucz do pokoju numer 327.

III

Gdy następnego dnia zapytałem Żoakima o mojego ojca, po chwili zakłopotanego milczenia zaoferował mi pożyczenie swej Biblii. Odmówiłem, dziękując, ale on siłą wcisnął mi ją pod pachę.

– *Proście, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam* – wyrecytował z pasją, patrząc mi w oczy. – Musisz szukać, myśleć, studiować. Nie znajdujesz teraz odpowiedzi, znajdziesz ją wkrótce... Za drzwiami z numerem 319 są schody prowadzące na półpiętro. Jest tam Biblioteka. Czynna całą dobę. Tylko dla poszukujących. Takich jak ty.

Hotel miał trzy piętra, połączone ze sobą ogromną spiralą schodów oraz dwiema staroświeckimi windami; jedna z nich była w permanentnym remoncie, druga zaś tak powolna, że większość osób wolała korzystać ze schodów. Józef, windziarz, nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Był to dziwak pragnący przetrwać swą starość na posterunku i bał się jak ognia zapowiedzi Dyrekcji o konieczności modernizacji wind. Niemal cała służba Hotelu była wiekowa, bo i recepcjonista, Neil Stainton, miał koło siedemdziesiątki. Dowcipny i uczynny do przesady, wymuszoną lekkością usiłował ukryć melancholię spowodowaną niedawną śmiercią swej żony, Laury.

Budynek liczył sobie może dwieście, może więcej lat. Nikt nie mógł tego dokładnie określić, gdyż każde piętro wybudowane było w innym stylu. Parter zdecydowanie barokowy, pierwsze piętro w sty-

lu Cesarstwa, drugie klasyczne, a trzecie pokryte ornamentyką secesji. Na dodatek posiadał całe mnóstwo ocienionych nisz, różnych wieżyczek, ukrytych korytarzy oraz przybudówek połączonych z głównym budynkiem przeszklonymi pasażami.

Poznanie topografii Hotelu okazało się zadaniem niezwykle skomplikowanym. Jedną z wielu przeszkód była niemożność rozróżnienia, które drzwi wiodą do normalnych pokoi, które zaś prowadzą do korytarzy i dodatkowych skrzydeł. Większość zamknięta była na klucz i Bóg jeden wiedział, co się za nimi kryło. Sfrustrowany poprosiłem w recepcji o plan Hotelu, ale Neil wyjaśnił mi uprzejmie, że takowy nie istnieje. Nie potrafił nawet podać dokładnej liczby pokoi, jako że Dyrekcja przeprowadza od kilkudziesięciu lat „płynny” – jak to określił – remont, niemal każdego dnia oddając nowe pokoje do użytku i zamykając stare. Oczywiście było jedynie to, że remont nie przebiegał według jakiegoś sensownego planu.

Zapytałem Neila, dlaczego tak jest, a on rozłożył ręce i przewrócił oczyma, dając mi do zrozumienia, że jest bezradny. Jego zdaniem Hotel z pewnością nie wymagał remontu. „Jeżeli w starym budynku zmieni się dach, to zaraz odkryje się, że ściany zjedzone są przez termyty – powiedział filozoficznie – a zmieniając ściany, odkryje się, że potrzebne są nowe podłogi i okna. *Perpetuum mobile*”.

Sporo czasu spędziłem na obserwacji drzwi. Gdy tylko się otwierały, zbliżałem się do nich. W ten sposób dowiedziałem się, gdzie kto mieszka, aczkolwiek większość pozostawała zamknięta, kryjąc za sobą tajemnicę. Pierwsze piętro, o suficie o wiele wyższym niż pozostałe, zamieszkiwali ludzie znani. Dyrekcja najwyraźniej

dbała o to, by zajmowali oni najdroższe i najbardziej wystawne pokoje. W lewym skrzydle, tuż obok klatki schodowej, mieścił się apartament Loretty Moore, królowej seriali telewizyjnych. Wyniosła, ubrana zwykle w przesadnie wydekoltowane kreacje, lubiła pokazywać swe nieskazitelne zęby w wystudiowanym uśmiechu, który zastępował jej wszelkie reakcje. Obok niej mieszkał Marlon Brando, milczący, zamknięty w sobie, obnoszący swą tuszę jak wyzwanie wobec świata żądającego od niego fizycznej doskonałości. Dwoje drzwi dalej, pod Nr. 111, mieszkała Bardot, unikająca ludzi jeszcze bardziej niż Brando. Naprzeciwko niej mieścił się apartament Simona Templera, który, pochłonięty tajnymi misjami, rzadko bywał w Hotelu.

W prawym skrzydle zakwaterowani byli Bitelsi, wraz ze swymi żonami, kochankami, służbą i dziećmi. Apartament Johna sąsiedował z pokojem Picassa, zamienionym w ogromną pracownię. Przy końcu korytarza, w pokoju zagraconym zegarami i fetyszami, mieszkał profesor Sergio De Louri, obok niego zaś Liberace, często grywający na swym kryształowym fortepianie. Oscar Noble zajmował całe dwa pokoje, które i tak ledwo mogły pomieścić jego trofea i medale zdobyte niemal w każdej dziedzinie, w której przyznawano nagrody.

Aby skompletować listę mieszkańców piętra pierwszego, należałoby jeszcze wspomnieć o Liz Taylor często kłócącej się ze swym mężem, Richardem Burtonem. Demonstracyjnie opuszczała wtedy lewe skrzydło i w anturazie asystentów i sekretarek przenosiła się z niezliczoną ilością walizek do skrzydła prawego. Także Belmondo, którego zawsze widziałem w tej samej skórzanej kurtce,

i – częściej zapłakana niż uśmiechnięta – Marilyn Monroe zasialali rój gwiazd.

Drugie piętro posiadało klientelę znacznie mniej ekskluzywną, do czego przyczyniały się niewątpliwie niższe ceny pokoi. Tuż nad Loretta Moore mieszkał Mr. Elm, biznesmen pragnący zarobić swój pierwszy milion. Poeci, Marta Kruger i Sebastian Lok, byli sąsiadami. Anna Bem, badaczka obrazów Hieronymusa Boscha, mieszkała przy końcu lewego skrzydła, zaś reszta pokoi i przejść w tej części wydawała się być permanentnie zamknięta. W skrzydle prawym pokoje wynajmowali: Dr Andreas Tolmes, chirurg plastyczny, który wślawił się operacją piersi Raquel Welch; Miriam Graft, kaleka; oraz dwóch znanych, lecz niezbyt zamożnych malarzy – Cézanne i Caravaggio. Ich pracownie przedzielone były pokojem kobiety rodzącej kamień.

Piętro trzecie było najgęściej zaludnione, jako że pokoje miały nie-duży metraż, a ich cena była całkiem przystępna. Tutaj drzwi otwierały się najczęściej i dlatego najprędzej udało mi się odkryć, kto gdzie mieszka (niektóre drzwi były uchylone, tak jakby mieszkańcy kompensowali sobie ciasnotę widokiem na rozległy korytarz).

Mój pokój mieścił się w połowie długości lewego skrzydła, tuż obok pokoju Daimlera, kumpla ze szkoły. Jack O'Belisk, architekt kościołów, miał pokój naprzeciw mnie, a jego sąsiadką była pani Kernbaum. Pokój tej leciwej kobiety załatywał stęchlizną, ponieważ trzymała w nim psa, którego nigdy nie wyprowadzała na spacer. Spośród wielu mieszkańców trzeciego piętra moją uwagę zwrócił mężczyzna, nad którym bezustannie wisiała chmura, bez względu na to, czy siedział, stał czy szedł.

Na parterze, oprócz recepcji, znajdowało się kilka pokoi mieszkalnych, restauracja, klub hotelowy, sala teatralna i szkoła. W podziemiach zaś była kuchnia, kotłownia, rzeka, a także rozległe jezioro. Zrozumiałem też, że czas w Hotelu nie istniał, toteż gdy Profesor De Louri otworzył drzwi do swego pokoju, bez zdumienia zauważyłem, że zegary, które kolekcjonował, pozbawione były cyferblatów. W tych zaś, w których istniały tarcze, cyfry były oderwane.

IV

Pewnego ranka obudziłem się, gdy Hotel jeszcze spał. Za oknem szare, skłębione chmury krwawiły pod ciosami światła. Nie mogąc ponownie zasnąć, ubrałem się, wziąłem notatnik i wyszedłem.

Korytarz był pusty. Słyszając na schodach czyjeś kroki, wyrzałem przez balustradę. Był to Cézanne. On również mnie dostrzegł i przystanął. Wpatrywał się we mnie, zadarłszy głowę zwieńczoną kapeluszem o szerokim rondzie. Pod pachą trzymał zamalowane płótno i sztalugi. W ręce miał poobijaną i poplamioną kasetę malarską. Nie ruszył się, jakby czekając na mnie.

Zszedłem do niego, a on wbił przenikliwe, świdrujące spojrzenie w moje buty.

– Wygodnie ci w nich? – zapytał ni z tego, ni z owego.

– Nie najgorzej.

– Pokaż zelówki.

Uniosłem nogę, a on pochylił się, zlustrował nadwierzoną zelówkę i przejechał po niej kciukiem.

– Skórzane zelówki są do niczego – stwierdził – gumowe wydają się znacznie lepsze, problem jednak w tym, że stopa nie oddycha. A stopa musi oddychać. Jak płuca.

Odwrócił się i zaczął schodzić.

– Jak masz ochotę – powiedział – to możesz mnie odprowadzić.

– Miałem inne plany – skłamałem, a on uśmiechnął się.

Wyszliśmy z Hotelu i znaleźli się w Ogrodzie. Cézanne szedł przede mną.

– Co, zmieniłeś plany? – zapytał.

– Tak.

– Z jakiego powodu? – kroczył środkiem rozległego trawnika, na którym osiadła rosa.

– Podejrzewam, że wiesz coś o moim ojcu.

– Ja? O twoim ojcu? Dlaczegoż bym miał coś wiedzieć?

– Nad jego biurkiem wisiała pocztówka z reprodukcją twojego obrazu.

Wzruszył ramionami i przystanął. Obejrzał swoje wilgotne zelówki wycięte z dętek samochodu.

– Widzisz, te nie przemakają, ale musiałem je przykleić wysoko, bo inaczej woda by nasiąknęła z góry. Twoje pewno już przemokły.

Potwierdziłem, a Cézanne zapatrzył się w trawę.

– Każde źdźbło jest inne – wymamrotał. – Każde ziarno niepodobne do drugiego. I ma swoje prawa, swój kolor i kształt, który jest tylko jego kolorem i kształtem. Wszystko jest неповtarzalne, doskonałe samo w sobie.

Ruszył, a ja za nim. Stawiał wielkie, zdecydowane kroki i od czasu do czasu pokasływał. Dotarliśmy do starego muru. Cézanne otworzył drewnianą furtkę.

– Wracaj do swoich spraw! – powiedział stanowczo. – Dalej chcę iść sam.

Ukloniłem się i podałem mu rękę. Położył na ziemi kasetę z farbami, uściśnął moją dłoń i wskazał na górę, która majestatycznie wznosiła się na horyzoncie.

– St. Victoire – powiedział, podniósł kasetę i dorzucił tajemniczo: – ta góra jest skamieniałym płomieniem...

Dotykając palcami chropowatej powierzchni muru, zacząłem obchodzić Ogród. W wielu miejscach mur był obłupany, ukazując spróchniałe cegły zarosłe pożerającymi je trawami i zielskiem. Zbliżyłem się do Hotelu, ale odgłosy budzącego się życia spłoszyły mnie.

Zdecydowałem, że warto poznać Ogród, i ruszyłem z powrotem. Wędrując alejkami, dosyć szybko straciłem orientację – obramowane wysokimi żywopłotami tworzyły rodzaj labiryntu – toteż po przejściu kilkudziesięciu kroków znalazłem się w tym samym miejscu, co przed chwilą. Skierowałem się więc ku trawnikowi i przecinając go na skos, odkryłem staw, którego brzegi spinała klamra barokowego mostku, a nieco dalej natknąłem się na rzeczkę. Długie, pożółkłe włosy traw falowały w sennym nurcie, tworząc małe meniskusy wirów. Idąc w górę, dotarłem do ruin młyna, po których woda ściekała ze spienionym szumem.

Początkowo sądziłem, że Ogród otacza jeden mur z kilkoma bramami i furtkami, lecz wkrótce odkryłem, że za furtkami rozciągały się inne ogrody, alejki i mury o równie skomplikowanym planie. Rzekłbyś, Ogród ten (ogrody?) był odzwierciedleniem przypadkowej architektury Hotelu, w różnych dekadach szukającej nowego stylu. Było w tym rozroście coś organicznego, jak w rozroście drzewa, które skręca się, zwija i sięga tych miejsc, na które pozwala mu otoczenie. W wielu miejscach mur był niezwykle wysoki, niemal więzienny, dochodzący do sześciu metrów. W innych opadał ostrą linią, zatrzymując się na poziomie ramion.

Zaintrygował mnie najwyższy odcinek muru przylegający do ściany Hotelu. Obszedłem go, ale nigdzie nie znalazłem furtki. Cóż

mogło kryć się za tym niebotycznym murem? Policzyłem okna od wejścia do Hotelu do granicy muru i uświadomiłem sobie, że przylega on do pokoju, w którym mieszkają żołnierze. Podkusiło mnie, by wspiąć się na pobliski kasztan i zajrzeć do wewnątrz. Tak też uczyniłem. Zdarłem sobie skórę nadgarstka i o mało nie spadłem z gałęzi, gdy podczołgałem się po konarze aż do krawędzi muru.

Wnętrze prostokąta porośnięte było zielskiem. Kilka rachitycznych drzewek nie sięgało nawet połowy muru, bowiem wysokie ściany trzymały ów skrawek w wiecznym cieniu. Nie mogłem jednak dostrzec nic, co tłumaczyłoby wysokość muru, a nawet samą jego obecność. Jediną rzeczą godną uwagi była prosta linia ścieżki wydeptanej pośród chwastów. Ale któż by wędrował od przeszklonych drzwi Hotelu do przeciwległego końca muru? I po co? Zrezygnowany zacząłem cofać się, gdy nagle usłyszałem brzęk szkła.

Drzwi na parterze otworzyły się i dwóch żołnierzy wprowadziło na dziedziniec starszego, zgarbionego mężczyznę o ptasiej twarzy i siwych włosach. Przywarłem do gałęzi. Starzec, ubrany w szary owerol, zasalutował i pomaszerował alejką defiladowym krokiem. Dotarł do końca muru, strzelił obcasami, odwrócił się i pomaszerował z powrotem. Poważny, skupiony, dźwigał wysoko swe usztywnione nogi, defilując pode mną. Dotarł do drzwi, strzelił obcasami, zasalutował, obrócił się i pomaszerował w stronę muru. Żołnierze nawet nie drgnęli, przyzwyczajeni widać do zachowania starego. Sądząc po wydeptanej alejce, musiał regularnie powtarzać swój rytuał.

Trwało to tak przez pół godziny. Żołnierze ziewali, a starzec maszerował uparcie tam i z powrotem, tam i z powrotem, trzaskając obcasami i salutując na krańcach ścieżki. Policzyłem jego defiladowe kroki: 215 w jedną stronę, 215 w drugą. W końcu również ja ziewnąłem i poczołgałem się po konarze w kierunku pnia.

V

Kiedy zląłem z drzewa, było już południe. Znalazłem zaciszną ławkę otoczoną żywopłotem, wyjąłem zeszyt i wpatrzony w po-
żółkłą kartkę starałem się skoncentrować. Czekałem na słowa. Po
chwili zjawily się: rozdygotane, infantylne, kwieciste (paliłem wier-
sze w ubikacji, a ogień jak wstyd lizał mi policzki). Napisałem: *Ptaki
światła wyleciały zza chmur i krążąc z wolna, osiadły na gałęziach
drzew ulicznych, zawieszając u okien pajęczyny zagmatwanych cie-
ni. Widząc nad sobą obłoki zasnuwające niebo, odlatują, pokrzyku-
jąc ospale.*

Gdy napisałem *ospale*, krzaki rozwarły się i stanęło przede mną
dwóch mężczyzn w wymiętych garniturach. Jeden z nich miał ty-
rolski kapelus z czarnej dermy z wetkniętym węń piórkiem kosa.
Drugi wycierał łysinę chusteczką. Ten w kapelusiku wyrwał mi ka-
jet i zaczął czytać w milczeniu. Łysy zaglądał mu przez ramię.

– Hmm, ciekawe, ciekawe – zamruczał ten w kapeluszu – to oby-
watel wypisuje sobie różne niecenzuralne rzeczy, gdy zajęcia od-
bywają się w szkole?

Milczałem zaskoczony.

– I na dodatek milczy – dorzucił łysy. – Przyłapaliśmy ptaszka jak
się patrzy. Gratuluję, mieliście nosa, towarzyszu Jóźwiak!

Jóźwiak skinął tyrolskim kapelusikiem i zwrócił się do mnie:

– Zza jakich to chmur wyleciały ptaki i jakie światło sobą przed-
stawiają, hę?

– Zza chmur – wybełkotałem – na niebie.

– Ha, to nie wiecie jeszcze, że nieba nie ma? Patrzcie no, towarzyszu Lubow, jakiego tu gagatka mamy.

– Jak to? – zaprotestowałem. – A to w górze, ponad nami, co to jest? – Wskazałem palcem na niebo, a oni jak na komendę unieśli głowy.

Po chwili opuścili je i utkwili we mnie drwiące spojrzenia.

– To w górze, obywatelu – powiedział z naciskiem Józwiak – to powietrze. Błękitne powietrze. Nic więcej.

– A za tym powietrzem znajdują się gwiazdy i nic więcej – dorzucił Lubow.

– A za tymi gwiazdami jest zwyczajna pustka – zakończył Józwiak.

– Jakie światło reprezentują ptaki?

– Światło – odparłem.

JÓŻWIAK

Nie wykręcajcie się. Odpowiadajcie wyraźnie i pełnymi zdaniami, bo jak nie, to inaczej sobie z wami pogadamy!

Zacząłem drzeć.

LUBOW

Co to, zrobiło się wam zimno?

JA

...Nie.

JÓŻWIAK

Jakie znacie najsilniejsze źródło światła?

JA

Słońce.

JÓŹWIAK

Słońce? A jak w takim razie określilibyście światło naszej rewolucji?

JA

Nie wiem.

JÓŹWIAK

Oj, znowu mi się wykęcacie. Odpowiadać: które światło jest silniejsze – rewolucji czy słońca?

JA

Światło rewolucji.

LUBOW

To dlaczego żeście tego nie napisali? Nie przyszło wam do głowy, czy jak? Poprawcie...

Lubow podał mi zeszyt, a ja dopisałem słowo rewolucji. Józwiak wyrwał zeszyt i przeczytał głośno.

JÓŹWIAK

Ptaki światła rewolucji wyleciały zza chmur... zaraz, zaraz, zza jakich chmur?

JA

Chmur w powietrzu.

JÓŹWIAK

Nasza rewolucja nie zna chmur. Skreślcie mi to...

Skreśliłem *zza chmur*.

LUBOW

No widzicie, co byście bez nas zrobili?

JÓŹWIAK

Te pajęczyny zagmatwanych cieni też trzeba zmienić...

JA

Ale na co?

LUBOW

Na przykład na czerwone sztandary i sześcioramienne gwiazdy.

JÓŹWIAK

Pięcio...

LUBOW

Co pięcio?

JÓŹWIAK

Pięcioramienne gwiazdy.

LUBOW

Tak powiedziałem.

JÓŹWIAK

Powiedzieliście sześcioramienne.

LUBOW

Ja, sześcioramienne? Nigdy!

Lubow splunął za siebie.

JÓŹWIAK

Przejeździłście się, towarzyszu Lubow.

LUBOW

Ja się nigdy nie przejeżdżam.

JÓŹWIAK

Zarzucacie mi kłamstwo?

LUBOW

Tego nie powiedziałem.

JÓŹWIAK

Ale to implikujecie.

Lubow milczał, wybałuszając oczy. Kilkakrotnie przetarł spoconą łysinę i wysmarkał się w chusteczkę. Józwiak splunął.

JÓŹWIAK

Tym razem wam, kurwa, daruję, bo chcę dać przykład młodzieży, zrozumieliście?

LUBOW

Tak jest, towarzyszu Józwiak!

JÓŹWIAK

Dobra...

(zwrócił się do mnie)

Ptaki rewolucji nie mają prawa widzieć nowych obłoków, to jasne, co nie? Zamieńcie na *pomnik naszego wodza*. I nie *odlatują*, a *przy-
latują*, nie *pokrzykują ospale*, tylko *rażnie...*

Poślinił ołówek kopiowy i sam naniósł poprawki. Rzucił mi kajet na kolana.

JÓŹWIAK

Wstańcie i przeczytajcie.

Podniosłem się i posłusznie wyrecytowałem.

JA

Ptaki światła rewolucji wyleciały i krążąc z wolna, osiadły na gałęziach drzew ulicznych, zawieszając u okien czerwone sztandary i pięcioramienne gwiazdy. Widząc nad sobą pomnik naszego wodza, przylatują, pokrzykując różnie.

LUBOW

Piękne... Co za talent!

JÓŻWIAK

Nie. Jeszcze parę drobnych zmian. Wyrzucicie *krążąc z wolna* i zamiast *drzew ulicznych* napiszcie *drzew na bulwarach*.

Józwiak kiwnął na swego towarzysza. Odeszli bez słowa, tak jak przyszli, a ja stałem jeszcze dobrą chwilę, trzęsąc się jak osika. Opadłem wreszcie na ławkę i nie poruszyłem się. Nie mogłem. Moje ręce i nogi, którymi jeszcze przed kilkunastoma minutami połączony byłem ze światem, ogarnął paraliż.

VI

Obudziłem się w środku nocy i nie mogłem już zasnąć. Hotel spał i jedynie odległe, urywane westchnienia wpełzały do mego pokoju rurami centralnego ogrzewania. Przypominając sobie słowa Żakima, gwałtownie uniosłem się na łóżku.

Klamka drzwi pod Nr. 319 ustąpiła bezgłośnie. Wąskie, drewniane schodki prowadziły na półpiętro. W wykuszu, tam gdzie ściana załamywała się pod ostrym kątem, ukryte były dwie pary obitych skórą drzwi. Nad szerszymi palił się czerwony napis SILENCIO. Wszedłem.

Biblioteka była rozległym, cylindrycznym pokojem o wysokich ścianach. Inkrustowane, mahoniowe półki połyskiwały mosiężnymi szynami, podpierając łożyska kilku ruchomych drabinek. Na perskim dywanie stały fotele klubowe, sekretarzyki, stoliki na drewnianych kółkach i lampy. Półkoliste okna okrywała mięsista purpura kurtyny. Pomimo swych wymiarów Biblioteka nie przytłaczała; jej ogrom pomniejszało bowiem intymne oświetlenie; za ledwie kilka żarówek paliło się stłumionym, mlecznym blaskiem. Poza mną nie było w niej nikogo.

Obszedłem Bibliotekę, dotykając zimnych, mosiężnych drabinek, po czym zapadłem się w głęboki fotel, który objął mnie niczym olbrzymia dłoń. Przymknąłem oczy i usłyszałem szelest papieru. Leżąca na stoliku książka otworzyła się sama. Był to ręko-

pis o strzelistych, pochylonych w prawo, poprzekreślanych i drżących literach. Zacząłem czytać i poczułem się tak, jakby podłoga załamała się pod moimi stopami; wraz z obejmującym mnie fotelem spadałem w otchłań. Nie mogłem oddychać. Krew coraz silniej pulsowała mi w skroniach. *Obudziłem się w środku nocy i nie mogłem już zasnąć* – przeczytałem półgłosem. – *Hotel spał i jedynie odległe, urywane westchnienia wpełzały do mego pokoju rurami centralnego ogrzewania...*

– Dobry wieczór – usłyszałem gdzieś za sobą.

– Dobry wieczór – odpowiedziałem bezwiednie.

Kilkanaście kroków za mną, w półmroku, stał zgarbiony, łysiejący mężczyzna w poplamionym, staroświeckim tużurku. Miał może pięćdziesiąt lat, a jego wyrazista czaszka wypłynęła z ciemności jak księżyc. Kciuki obu dłoni zakotwiczył w wąskich kieszonkach wyswiechtanej kamizelki, pozostałymi palcami bębnić w brzuch.

– Nazywam się Antoni Ulim i jestem tu bibliotekarzem.

Jego niski, ciepły głos wzbudzał zaufanie.

– Żoakim, portier, poradził mi, abym tu przyszedł – odparłem. – Zapewnił mnie, że Biblioteka jest czynna całą dobę.

– Zgadza się. Jestem do pańskiej dyspozycji. Czym mogę służyć? Wzruszyłem ramionami. Nie za bardzo wiedziałem, po co tu przyszedłem, a opowiadanie mu o uczuciu *déjà vu* związanym z rękopisem naraziłoby mnie tylko na śmieszność.

JA

Czy wielu gości hotelowych przychodzi tu
w środku nocy?

ULIM

Nie, tylko pan.

JA

Ależ jest to moja pierwsza wizyta.

ULIM

Trudno temu zaprzeczyć.

JA

A w ciągu dnia... Ma pan duży ruch?

ULIM

Nie, proszę pana.

JA

Hmm, to musi się pan nudzić.

ULIM

Przyznam, że tak. Od dawna już czekałem na pana.

JA

Na mnie?

ULIM

Tak, na pana.

JA

Przecież ktoś jeszcze tu przychodzi.

ULIM

Nie, proszę pana, nikt.

JA

Nigdy?

ULIM

W rzeczy samej, nigdy.

JA

Przecież Źoakim... Dlaczego czekał pan na mnie?

ULIM

Gdyż ja, proszę pana, jestem pańskim prywatnym bibliotekarzem.

JA

A któż tak zarządził?

ULIM

Szanowny pan.

JA

Ja?!... Nie przypominam sobie.

ULIM

Nic dziwnego. Panuje w panu obecnie taki chaos...

Moje zdumienie nie miało granic. Trudno jednak było zaprzeczyć słowom tego miłego, usłużnego człowieka, który pochylając się lekko przy każdej wypowiedzi, potwierdzał swą hotelową ogładę. – Skąd pan wie, że panuje we mnie chaos? – zapytałem zdenerwowany.

Przeszedł przez pokój i wystudiowanym ruchem ręki wskazał na półki.

– Stąd – odparł spokojnie. – W tych książkach zanotowane są pańskie myśli.

Poderwałem się z fotela i wyciągnąłem z półki pierwszy z brzegu tom. Oprawny w ciemnozielone płótno i marmurkowy papier,

miał moje nazwisko wytłoczone na okładce. Drżącymi rękami otworzyłem książkę i zacząłem kartkować jej nierówne, postrzępione na krawędziach strony. Były puste.

– Niestety – wtrącił Ulim – pospieszył się pan z wyborem książki. Jej stronice nie zostały jeszcze zapisane. Większość z tych tomów jest pusta, oczekuje na pańskie myśli. Ja, dysponując nadmierną ilością czasu, przygotowałem je – wybaczy pan nieprecyzyjność tego określenia – „na później”

Ulim wyciągnął z półki lżejszy, oprawiony w pakowy papier tom.

– Jeśli pan życzy – powiedział, dając mi książkę – proszę rzucić okiem na ten egzemplarz.

Otworzyłem na pierwszej stronie i przeczytałem: *Palce dotknęły powiek. Zacisnąłem oczy, odwróciłem się do ściany i podciągnąłem kolana pod brodę. Ojciec leciał tuż nad morzem, w starej, nocnej koszuli, która łopotąta jak żagiel.*

Chciałem obrócić stronę, ale arkusze były nierozcięte.

– Niebywałe – zwróciłem się do Ulima – to moje wczesne notatki, a tu dalej strony są nierozcięte. Jak to możliwe?

– Proszę się nie obawiać – Ulim uśmiechnął się i skinął głową – wkrótce i one utracą dziewictwo. Dzisiaj niestety dziewictwo zostaje odebrane wszystkiemu przedwcześnie. I to przeważnie gwałtem.

Oddałem książkę w ręce Ulima i zapadłem się w fotel.

JA

Jak nietrudno sobie to panu wyobrazić, jestem zaszokowany...

ULIM

Domyślam się. To było do przewidzenia.

JA

...i szczęśliwy, bowiem jest ktoś, kto mnie zna i rozumie, a przez to może wyprowadzić mnie z labiryntu.

ULIM

Owszem, znam pana i rozumiem, lecz próby mojego wpłynięcia na pańskie decyzje, mówiąc oględnie, byłyby wysoce nieetyczne, a przez to niewskazane.

JA

Przecież prowadzi pan Bibliotekę moich myśli. Komu zatem ma ona służyć?

ULIM

Klasyfikacja i skatalogowanie pańskiej przeszłości ma pomóc panu w wyzwoleniu się z chaosu, aby nie powtarzał pan ruchów już raz zrobionych, uniknął zasadzek...

JA

Otóż to – uniknął zasadzek. Jak pan świetnie zdaje sobie sprawę, szukam ojca i wszelkie wskazówki oraz porady pochodzące od osoby tak świadomej jak pan byłyby dla mnie na wagę złota.

ULIM

Nie sądzę. Doprawdy.

JA

Ale ja proszę.

ULIM

Ja nie jestem doradcą, proszę szanownego pana, jestem tylko bibliotekarzem. A teraz, jeżeli pan pozwoli, zostawię pana samego.

Ulim uklonił się i odszedł w ocienioną część Biblioteki. Jego owalna czaszka rozplynęła się w mroku i po chwili do uszu moich dotarł cichy skrzyp zawiasów. Podążyłem jego śladem, lecz pomimo włączenia ściennego kinkietu nie dostrzegłem żadnych drzwi. Jakby niezupełnie dowierzając niedawno odbytej rozmowie, powróciłem do lektury brulionu. Rozcinając kartki, zacząłem czytać.